Rok 1901. Lwów, 3. Marca Nr. 9.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY i LITERACKI

ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY

(z przesyłką pocztową)

W Austryi i Węgrzech	koron:	rocznie 16·—	półrocznie 8·—	kwartalnie 4·	miesięcznie: 1·40
W Rzeszy niemieckiej	marek:	„ 16·—	„ 8·—	„ 4·-	„ 2·—
W innych krajach europ.	franków:	„ 20·—	„ 10·—	„ 5·—	„ 2·—
W Ameryce północnej	dolarów:	„ 4·—	„ 2·—	„ 1·—	„ 1/2
W Ameryce południow.	franków:	„ 25·—	„ 13·—	„ 7·—	„ 3·—

PRENUMERATĘ należy uiszczać zgóry.

Najdogodniej jest przesyłać pieniądze przekazem pocztowym adresując:

Administracya „TYGODNIKA NARODOWEGO“ Lwów Cicha 5.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą oraz Biura dzienników.

Numer pojedynczy kosztuje 40 halerzy.

OGŁOSZENIA

po 12 halerzy od wiersza petitowego w jednym łamie przy umieszczeniu jednorazowem. Ogłoszenia kilkurazowe za stosownym rabatem.

DONIESIENIA w rubryce „NADESŁANE“ po 30 hal. od wiersza.

DROBNE OGŁOSZENIA po 3 halerze od wyrazu.

ZAŁĄCZNIKI do „Tygodnika Narodowego“ po 2 korony od 100 egzempl.

Ogłoszenia (płatne we Lwowie) przyjmują: Administracya „Tygodnika Narodowego“ we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5., oraz Biura ogłoszeń w kraju i za granicą.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

Rok 1901. Lwów, 3. marca Nr 9.



TYGODNIK NARODOWY.

Redaktor: Klemens Kołakowski. Redakcya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11, Administracya przy ul. Cichej l. 5.

Treść Nr. 9:

Los von Rom.

Ciężko nękany parlament dotknięty jest nowem nieszczęściem. Rozprawa religijna, prowokowana przez interpelacyę grupy Schönerera, była pierwszą zapowiedzią tylko systematycznej agitacyi przeciw-katolickiej.

Schönerer i Wolff, których ambicyi zaspokoić już nie może powszechna agitacya narodowa, postanowili wnieść do izby hasło *los von Rom*, którem od kilku lat już burzą spokój ludności niemieckiej w krajach czeskich, zarówno jak w górskich dolinach alpejskich. *Los vom Rom*, które zagrzmiało w izbie poselskiej, ma z ich woli objąć się w przyszłości dzień po dniu o mury parlamentu, a walka religijna o lepsze iść z walką narodową.

Kto przypatrzył się i przysłuchał posiedzeniu, ten wie, co to znaczy. Najspokojniejsi i najpoważniejsi mężowie na ławach polskich, w centrum i w gronie szlachty konserwatywnej z zaciśniętemi pięściami przyskakiwali do burzycieli pokoju; dwaj dawniejsi prezesowie Izby, dr. Kathrein i dr. Fuchs, pierwsi gotowi byli rzucić się na autorów podłej interpelacyi Eisenkolba i Schönerera, a usposobienie Izby było takie, że jeden jeszcze nieostrożny wyraz doprowadzić mógł do rozlewu krwi. A w odwodzie stali antysemici luegererowscy, których krewki temperament z trudnością trzymali na wodzy rozważniejsi przewódcy. Nigdy, nawet w najgorszych chwilach, nie widziano przedtem takiego w Izbie roznamiętnienia.

Niemcy, wogóle biorąc, nie mają w Austryi zbyt wiele zapału narodowego. Umiarkowane stronnictwa niemieckie, jak katolicy alpejscy, magnaci, wreszcie antysemici wiedeńscy zawsze skłonni są na polu narodowem do kompromisów. Ale na polu religijnem o kompromisach mowy niema. Przeciwko 22 świeżo upieczonym protestantom i misyonarzom protestanckim z klubu Wolffa, jak jeden mąż staje olbrzymia większość katolicka, Polacy i Czesi, Niemcy, Włosi i Słoweńcy, na tym jednym punkcie wszyscy zgodni. Nie dopuszczą oni nigdy do tego, aby trybuna parlamentarna przemieniła się w kazalnicę dla propagandy antykatolickiej.

Interpelacya taka miała cel jasno wytknięty i dla każdego zrozumiały. Propaganda „*los von Rom*“ prowadzi się przy pomocy setek tysięcy pamfletowych broszur, rozrzucanych pomiędzy ludność. W ostatnim czasie prokuratorye zwróciły na te broszury baczniejszą uwagę i konfiskaty szły jedna po drugiej. Żeby temu zaradzić, postanowili agitatorzy nadużyć trybuny parlamentarnej. Według ustawy, rzecz odczytana na jawnem posiedzeniu Izby i pomieszczona w stenograficznym protokole nie podlega więcej cenzurze prokuratora i wolno każdemu przedrukować, czy to cały protokół, czy też poszczególne ustępy. Wniesiono więc interpelacyę z powodu konfiskaty broszury, a dla uzasadnienia dodano całą jej treść. Wiceprezydent Izby Prade, jak mówi, przez nieuwagę, jak inni twierdzą, z obawy przed Wolfem i Schönererem, interpelacyę dopuścił, skoro zaś odczytano ją w Izbie, musiała też być pomieszczona w stenograficznym protokole.

Ale Izba zbuntowała się, zażądała tajnego posiedzenia i, może wbrew regulaminowi, ale stanowczo w myśl życzenia $^5/_6$ ludności i posłów, interpelacyę wyeliminowała.

Obecnie podobne sztuczki ze strony Wolfa i towarzyszy powtarać się będą częściej. Wobec tego promyk nadziei, iż parlament przecież odżyje, zaczyna znów blednąć.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Hakatyzm w armii niemieckiej.

Podczas toczących się w parlamencie niemieckim obrad nad budżetem ministerstwa wojny, przyszło do wielce znamiennej dyskusyi skutkiem interpelacyi ks. Jaździewskiego.

Po odpowiedzi ministra wojny Gosslera zabrał głos ks. Herbert Bismark, zaznaczając, iż ta odpowiedź zadowoliła wszystkich patryotycznie myślących Niemców. Mowca już przed rokiem 1894 nawoływał nie do walki, lecz do obrony przeciw Polakom. Zwiększenie się zaś szowinizmu niemieckiego jest konieczne, gdyż Niemcy są wypierani przez Polaków. Zachowują oni zawsze w pamięci powiedzenie Bismarka: „Vexilla Poloniae prodeunt!“

Na to odpowiedział ksiądz Jaździewski, podtrzymując swoje wywody co do hakatyzmu, uprawianego w wojsku niemieckiem. Mowca nie chce poniżać pamięci Bismarka, lecz stwierdza jego liczne błędy na polu polityki wewnętrznej a między innemi wydanie ustaw wyjątkowych przeciw katolikom, Polakom i socyalistom. W dalszej dyskusyi brali udział posłowie: Bebel, Głębocki, Tiedemann, oraz ponownie ks. Jaździewski i ks. Bismark.

Pierwszy z nich krytykował ostro-politykę bismarkowską, która zaostrzyła przeciwieństwa narodowe, a która rozbiła się wobec oporu socyalistów, centrum i Polaków.

Stosunki niemiecko-angielskie.

Pisma półurzędowe zapewniają, że wizyta króla Edwarda VII u cesarzowej-wdowy Fryderykowej, ani niewątpliwe spotkanie się jego z cesarzem Wilhelmem na ziemi niemieckiej nie będzie miało żadnego znaczenia politycznego. Pisma wszechniemieckie są innego zdania. Oświadczają one, że Niemcy wbrew swoim najżywotniejszym interesom, zbliżyły się zanadto do Anglii i naraziły się niepotrzebnie państwom innym, a nowe spotkanie się monarchów popchnie Niemcy jeszcze więcej w kierunku pożądanym przez politykę angielską. Jedno z pism wszechniemieckich *Deutsche Tageszig.*, pisze ironicznie: „Cesarstwo niemieckie tak samo nie jest

dziś neutralne, jak Portugalia. Walczy ono ramię przy ramieniu z Portugalią po stronie angielskiej. Obawa, aby przez przybycie króla angielskiego do Berlina nie pogorszyły się niepotrzebnie nasze stosunki z innemi mocarstwami, są nieuzasadnione. Stanowisko nasze polityczne jest już takie, że w niem zepsuć się już nic nie może". Dalej zaś pismo wszechniemieckie charakteryzuje w taki sposób zapatrywania narodu niemieckiego na politykę anglofilską cesarza Wilhelma: „Przyjazd króla Edwarda do Niemiec jest sprawą poprostu czysto osobistą, albo co najwyżej dworską. Urząd marszałkowski oczywiście znajduje się w ruchu gorączkowym, ale naród niemiecki cała ta sprawa nic nie obchodzi". Tak wyraźnie nie zaznaczono jeszcze nigdy w prasie niemieckiej przeciwieństwa pomiędzy polityką cesarza a usposobieniami narodu, a dodać trzeba, że *Deutsche Tageszlg.* jest nietylko pismem związku wszechniemieckiego, lecz głównym organizmem wielkiej niemieckiej własności ziemskiej, owego *junkerstwa*, które jest chlubą Prus, a zakałą Niemiec.

Zaburzenia w Hiszpanii.

Wobec względnego uspokojenia się obecnie zarówno ruchów robotniczych w Gijon, jak manifestacyi antyklerykalnych, wywołanych procesem zwróconej rodzinie bogatej mniszki, panny Ubao, i małżeństwem księżniczki Asturyi z ekskarlistą, młodym hrabią Caserty, Karolem Bourbonem — gabinet na ostatniem posiedzeniu postanowił zostać jeszcze na posterunku.

Królowa - rejentka nie jest dotąd zdecydowana, komu powierzyć ster skołatanej nawy. Cała niemal prasa madrycka domaga się nawrotu do rządów liberalnych. Wszelkie więc jest prawdopodobieństwo, że sędziwy, siedemdziesięcioletni Sagasta raz jeszcze pośpieszy ratować zachwiane w Hiszpanii podstawy monarchicznego porządku rzeczy. Nawet gdyby na czele rządu stanął konserwatysta Silvela, spadkobierca politycznego testamentu Canovasa del Castillo, byłby to tylko gabinet przejściowy, gdyż na widnokrąg hiszpański wchodzi widocznie dla każdego oka znowu gwiazda zaranna liberalizmu. Prawda, że i tych rządów liberalnych miała Hiszpania za ostatniego pokolenia dosyć, a procesu dziejowego nie powstrzymały.

Zwycięstwa angielskie.

Lord Kitchener donosi o stanowczych zwycięstwach generałów Plumer'a i French'a nad De Wet'em i Ludwikiem Bothą. Wiadomości są tak szczegółowe i dokładne, że o porażce obu przywódców wątpić nie można. Bitew wielkich nie było, ale Plumer rozbił część powracającej do rep. Orańskiej armii De Wet'a, French zaś zdobył nad wschodnią granicą Transwaalu wielkie zapasy broni i amunicyi i ogromne stada bydła i owiec i ściga, według telegramów Kitchener'a, tak energicznie gen. Bothę, że tenże prawdopodobnie będzie musiał się poddać. Według telegramów prywatnych, Botha rozpoczął już układy z Anglikami, De Wet zaś z 300 tylko ludźmi przekroczył rzekę Oranje i cofa się ku północy.

Należy zaczekać na dalszy rozwój wypadków. Być może, że obaj generałowie Boerów wydobędą się jeszcze z trudnego położenia, zbiorą na nowo swoje oddziały i rozpoczną z wielkiem powodzeniem wojnę podjazdową. Jeżeli wolno o porażkach ostatnich sądzić z dotychczasowego przebiegu wojny, to nie są one może tak stanowcze, aby dalszy opór stał się niemożliwym. Zwłaszcza oddział De Wet'a więcej niż 10 razy był już zupełnie „rozprószony" przez wojska angielskie, a zbierał się zawsze na nowo, aby rozpocząć walkę w innej okolicy. Nieuchwytność De Wet'a polega właśnie na tem, że jego Boerowie umieją w chwili niebezpieczeństwa rozsypać się na maleńkie grupy i przedostać się po za linię nieprzyjacielską, a po kilku dniach połączyć się w większe oddziały.

W każdym razie nie ulega wątpliwości, że ani jednemu, ani drugiemu przywódcy Boerów nie udała się wyprawa na terytoryum angielskie. De Wet nie zdołał utrzymać się w Kaplandzie, gdzie miał rzekomo wywołać ogólne powstanie; Botha nie przedostał się do Natalu, lecz przypłacił próbę przeniesienia wojny na inny tereń utratą znacznych zapasów broni i amunicyi.

Jeżeli ziszczą się nadzieje Kitchener'a, że Bot'ha podda się, a De Wet będzie schwytany, to wojna w Afryce skończy się wcześniej, niż ktokolwiek przypuszczał w czasach ostatnich.

Statystyka Galicyi.

W tych dniach wyszedł we Lwowie tom VI „Podręcznika statystyki Galicyi", wydany przez krajowe biuro statystyczne pod redakcyą dr. Tadeusza Pilata. Tom ten zawiera następujące główne działy: obszar, podział terytoryalny i ludność, ruch ludności; stosunki zdrowotne i zakłady humanitarne; stosunki kościelne; zakłady naukowe i wychowawcze; prasa; stowarzyszenia; własność ziemska i rolnictwo.

Podajemy poniżej z tej pracy kilka cyfr ważniejszych.

Co do obszaru, zajmuje Galicya pierwsze miejsce wśród wszystkich dzielnic przedlitawskich, gdyż obszar jej wynosi 78.496 kwadratowych kilometrów; po Galicyi idą Czechy z obszarem 51.948 kw kil., dalej Tyrol 26.683, Styrya 22.426, Morawy 22.222. Austrya Dolna 19.824, Dalmacya 12.823, Austrya Górna 11.984, Bukowina 10.441, Karyntya 10.327, Kraina 9.955, Salcburg 7.152, Śląsk 5.147, Istrya 4.955, Gorycya i Gradyska 2.918, Voralberg 2.602 i Tryest z okręgiem 95 kw. kilometrów.

Wszystkie prowincye, czyli cała Przedlitawia zajmuje łączny obszar 300.010 kw. kil., a zatem Galicya, co do obszaru, stanowi więcej, niż czwartą część Przedlitawii, bo $26^{16}/_{100}$ proc. Ludność zaś stanowi jeszcze wyższy procent ludności całego państwa, bo $27^{65}/_{100}$ prc. Wedle bowiem spisu ludność Galicyi wynosiła 6,607.816 mieszkańców, a ludność całej Przedlitawii 23,895.413.

Podobnie jak w innych prowincyach, tak też i w Galicyi jest nieco więcej kobiet niż mężczyzn, ludność bowiem męska cywilna wynosiła 3,207.032, a żeńska 3 347.383 głów; garnizony wojskowe liczyły 53.401 głów. Na tysiąc mężczyzn wypada w Galicyi 1.027 kobiet.

Na jednym kilometrze kwadratowym mieszka w Galicyi w przecięciu 84 ludzi. Gęściej zaludnione są tylko: Morawy, mające 102 mieszkańców na jednym kilometrze kwadratowym, Czechy 113, Śląsk 118, Austrya dolna 134 i Tryest z okręgiem, mający aż 1.658 mieszkańców na jednym kilometrze kwadratowym, co jednak nie powinno dziwić wobec tego, że właściwie miasto Tryest stanowi całą prowincyę administracyjną, mającą własny sejm. W jedenastu prowincyach austryackich zaludnienie jest rzadsze, niż w Galicyi, najrzadsze zaś w Salcburgu, gdzie na 1 kilometrze kwadr. żyje tylko 24 mieszkańców.

Rozsiedlenie ludności Galicyi po miastach, miasteczkach i wsiach przedstawia się jak następuje: W miastach większych, liczących po nad 10.000 ludności mieszkało 543.220 ludzi, w mniejszych, mających 5 do 10 tysięcy 235 613, w małych, mających od 2 do 5 tysięcy 1,079 314, a w osadach poniżej 2000 mieszkańców, a więc po wsiach mieszkało 4.749.669 ludzi. Okazuje się z tego, że procent ludności wiejskiej, to jest osiadłej w miejscowościach poniżej 2000 mieszkańców jest w Galicyi stosunkowo bardzo znacznym, gdyż wynosi 719 na 1000. Wyższym jest on tylko w Austryi Górnej (849), Salcburgu (820), Tyrolu (771), Styryi (832), Karyntyi (900), Krainy (921) i Dalmacyi (819). Ludność wielkomiejska, to jest w miastach powyżej 10 000 mieszkańców stanowi w Galicyi 8·2 na 100, procent ten jest mniejszy tylko w czterech prowincyach, to jest w Tyrolu, Karyntyi, Krainie i Dalmacyi, natomiast we wszystkich innych prowincyach procent ludności wielkomiejskiej jest znacznie większy, największy oczywiście w Austryi Dolnej, gdzie znajduje się stolica tej prowincyi i całego państwa, Wiedeń. Tam ludność wielkomiejska czyni 54 na 100, a zatem więcej, niż połowę całego zaludnienia.

Co się tyczy wyznania, to wedle ostatniego spisu ludności z 31 grudnia 1890 roku, rozdzielała się ludność Galicyi jak następuje: Ludność rzymsko-katolicka wynosiło 3 000.801 dusz, czyli $45^{4}/_{100}$ proc. całego zaludnienia, grecko-katolicka wynosiła 2,790.577, czyli $42^{3}/_{100}$ proc., żydowska 770.467, czyli $11^{7}/_{100}$ proc., protestancka 43.279 czyli $^{6}/_{100}$ proc.; wyznawców cerkwi grecko-oryentalnej było 1920, a wyznawców innych religii 771. Tylko w jednej Bukowinie procent ludności żydowskiej jest wyższy niż w Galicyi, bo $12^{8}/_{100}$ proc (82.717 żydów na 646.591 mieszkańców), Galicya więc zajmuje drugie miejsce, trzecie Austrya Dolna, mająca $4^{8}/_{100}$ proc, żydów, we wszystkich zaś innych prowincyach monarchii procent ludności żydowskiej jest mniejszy niż 2 proc., najmniejszy w Austryi Górnej, Tyrolu, Salcburgu i Dalmacyi, tudzież w Krainie, gdzie na 498.958 mieszkańców jest wszystkiego 89 żydów.

Pod względem narodowości stanowi ludność polska w Galicyi liczebną przewagę, poprzedni bowiem wykazał 3.509.183 mieszkańców używających w domu języka polskiego, a to czyni $53^{34}/_{100}$ proc. całej ludności. Rusinów było 2,835.674 czyli o $43^{1}/_{100}$, Niemców 237.600 czyli $3^{4}/_{100}$, Czechów, Morawian i Słowaków było 5 837 osób, Słoweńców 208, Rumunów 283 i Włochów 58.

Władysław Czemeryński.

ZMOWA LEKARZY.

Audiatur et altera pars.

Nie stanie na stanowisku autora artykułu, pod równobrzmiącym tytułem zamieszczonego w numerze przedostatnim (6) „Tygodnika Narod.“ ten, ktokolwiek będzie wiedział, jak bardzo pełnym strasznych rozczarowań, goryczy i bolesnych ciernisk cierpienia wogóle jest żywot .ekarza, — od początku pracy jego, do końca. Oto 18-toletni młodzieniec wstępuje na wydział lekarski wszechnicy — jako człowiek przejęty zapałem młodym do nauki i najgorętszemi pragnieniami przyjścia w przyszłości niedalekiej z jak najskuteczniejszą pomocą bliźnim, a oraz mężnego dokładania swych cegiełek do ukochanego, wymarzonego gmachu szczęścia narodu i dążności do postępu jego. Pracuje wytrwale z wytężeniem sił wszystkich, jeżeli już w początkach pogoni za wiedzą krzepkość jego ustroju przetrwa zwycięsko próbę i nie odmówi mu podstawy sprawności, — zdrowia... (Nie mówimy o zachowywaniu się wyjątków, pozbawionych charakteru i zasad).

Młody medyk wkłada nietylko otrzymywany najściślej od rodziców, lub krewnych, dla braku czasu na zarabianie na wyżycie, — kapitał, na utrzymywanie potrzebny, — lecz i duchowy, — stokroć może intenzywniejszy, niż pierwszy, — ma więc chyba prawo i do... procentów.

Jeżeli nawet pracownicy społeczni narodu naszego w tak znacznym dotąd jeszcze stopniu pozbawieni szerszych widnokręgów umysłowych, jak ogół mas robotników fizycznych, — a więc i „rybaczy, dorożkarzy, kominiarzy, woźnych,“ — potrafili już zdobyć się na dążenie do polepszenia bytu swego, smutnemby było zaprawdę, niesłychanie i źleby świadczyło o poczuciu godności stanu, gdyby tak bądźcobądź poważny zastęp kwiatu inteligencyi narodowej, — jak lekarze, nie zdołał zrozumieć swego położenia! Czy jest jakikolwiek zawodowiec, — prócz, — poczęści, może „strażaka ogniowego“ — któryby był narażonym, z obowiązku, na większe niebezpieczeństwo życia i zdrowia, niż właśnie ten, kto ma być kapłanem przestrzegania i zachowania tychże, a zapobiegania chorobom? Tam, skąd wszyscy z panicznym przestrachem, lub nawet niewymowną odrazą uciekają, — wstępuje tylko... lekarz. A temi niebezpieczeństwami, tak za wstrętne, albo groźne dla innych śmiertelników uważanemi, są legiony ukrytych wrogów czynnościowego rozwoju, względnie zachowania ustroju ludzkiego, — choroby zakaźne, począwszy od pokrzywki, a skończywszy na gruźlicy, a nawet i nosaciźnie! Stan powołany do składania tak ryzykownego, bo pełnego nieustannych niemal a bohaterskich ofiar najwyższych, bo z istnienia, zupełnie niespodziewanie w każdej chwili prawie mogącego swój bieg przerwać, — wszystko to dla dobra bliźnich, — ma prawo do uczciwego i odpowiedniego jego zasługom traktowania przez społeczeństwo. A więc najmłodszy nawet członek ciała lekarskiego



KOŚCIÓŁ W ANTOKOLU.

nie śmie być narażony na ujmowanie ceny jego godności i zrównywany pod względem zasług i płacy z.. mechanicznymi wykonawcami jego dobroczynnej woli, — woźnymi, choćby się ci niewiedzieć jak długo „dobijali ciężką“ nawet „robotą“ „polepszenia“ swego bytu! Praca lekarza jest nietylko umysłową, ale i fizyczną zarazem: prócz wytężenia kombinacyjnego poczucia, (kierowanego przez nigdy nie znużoną duszę), układu nerwowego, wymaga nasilenia tak wszystkich zmysłów (przy badaniu), jak i najczęściej przeważnej ilości grup mięśni (n. p. przy zwracaniu członków do położenia prawidłowego po zwichnięciach, pociągających za sobą przyrośnięcie nienależyte więzadeł). Jeżeli sprawność całą lekarza, t. j. objawy wiedzy i inteligencyi wraz z wcielonemi w rękoczyny cechami siły i zręczności przeciwstawimy wykonaniu obowiązków woźnego, jawnem się okaże, jak niesprawiedliwie, a błędnie postąpiłby ten, ktoby chciał, ze względu na długoletnią nawet służbę drugiego, stawiać go na jednym poziomie społecznym z pierwszym wtedy, gdy sama możność nabycia równego wykształcenia (umysłowego) jest tamtemu niedostępną, a więc i rozwój, temsamem zaś zasługi i wydatność działania, więc i prawo do odpowiedniej płacy przewyższają wprost szanse tegoż... Śmiesznem już zaś jest porównywać ilość „godzin“ 2 tych pracowników. Tam, gdzie lekarz w 1 godzinie naraz wykona tyle skombinowanej, nasilonej czynności zawodowej, ileby nie zdołał dać czysto fizycznem wytężeniem woźny w ciągu 3—4 godzin, — usuwa się od dyskusyi wprost nawet samo przypuszczenie o doktrynerskiem jakiemś „naciąganiu“ faktu do potrzebnych komuś argumentów przeciw „strajkowi“.

Jaskrawą niesprawiedliwością jest postępowanie macosze kraju z lekarzami szpitalnymi, choćby ci „tylko jako praktykanci“ pracowali. Kto zna przebieg studjum lekarskiego, wie, że mylą się ci, którzy sądzą, jakoby medyk dopiero jako lekarz (a więc po doktoracie) „dokonywał pod dozorem starszych kolegów operacyj większych i mniejszych, już nie na zwłokach, lecz na „żywym człowieku“ i t. d. Wszystkie bowiem „przypatrywania się“, nauka obchodzenia się z chorymi (niewyłączając wcale bynajmniej „taktu lekarskiego“) i „rękoczyny“ najrozmaitsze muszą się odbyć jeszcze przed złożeniem doktoratu, tak, że przeciętny doktor medycyny już, zaraz po złożeniu przysięgi lekarskiej, zawsze wykazuje pewną, niezbędną do dojrzałości zawodowej ilość doświadczenia tak obserwacyjno-akademickiego, jak i praktycznego, władowanych w jego czyny lekoznawcze.

Przenoszenie jednak ułomności jednostek pewnych, podprzeciętnych, niedorozwiniętych na ogół zawodowców rodzi niesprawiedliwą ocenę zdolności i zasług.

Pogłębić wiedzę i doświadczenie może każdy lekarz tylko w szpitalu, lub na klinice. Do tego dać mu sposobność, jest bynajmniej nie „dobrodziejstwem“ (t. j. darem, bez równej co najmniej wzajemności), lecz owszem — tak dobrym konsekwentnym obowiązkiem społeczeństwa, jakim otwarcie studyum lekarskiego tym, którzy zamierzają się poświęcić ryzykownemu zawodowi.

Jeżeliby w ciągu 5 lat studyów na wszechnicy medyk nie nabył „doświadczenia“, nie „poznał rękoczynów“ i nie „wykonywał operacyj“, to 2 lata „szpitalnej praktyki“ nie dadzą mu na tyle wiedzy i wprawy, by się owa praktyka dla niego należycie pożyteczną okazała. Ktoby zatem twierdził, że 2 lata wystarczają lekarzowi do „praktycznego przygotowania“, czyli niejako dojrzenia na uzbrojonego pewną niezbędną ilością doświadczenia lekarza, a równocześnie wyszedł był z założenia, że dopiero w owym terminie wyucza się przeciętny syn Eskulapa praktycznie, nie zaś przed złożeniem doktoratu, okazałby się sprzecznym sam ze swem własnem zdaniem.

Nawskróś już błędnem jest mniemanie, jakoby „przedłużając termin 2-letniej praktyki szpitalnej“ do lat 4, zamyka się drogę nowowstępującym „do szerszego zakresu działania“.

Urządzenie takie właśnie zmusiłoby, w następstwie swem kraj do rozszerzenia szpitali, piekącej, bo nieodzownej potrzeby społecznej, oddawna dotkliwie odczuwać się dającej.

Podnosił ją jeszcze ś. p. prof. dr. Obaliński w „Pamiętniku“ oddziału chirurgicznego, wydanym w roku otworzenia tegoż w Krakowie. Gdyby myśl taką urzeczywistniono, możnaby dopiero należycie ocenić, ktoby więcej zyskał: czy społeczeństwo, czy jego lekarze. Czy powstrzymanie rozszerzania się chorób przy pełnych środkach naukowych do ich zwalczenia, w które uzbrojone są szpitale i wogóle doświadczalne zakłady, — nieprzyniosłoby należytej, bo stokroć intenzywniejszej korzyści społeczeństwu, niż skąpstwo, przedewszystkiem więc jego kwiatowi, — najbardziej w dobrobyt opływającym, a więc najkulturniej usposobionym jego członkom, trzebaby poważnie już zawczasu się nareszcie zastanowić!...

Zbytnia obecna oszczędność na cele zdrowotne musi przy najbliższej epidemji (n. p. dżumy, niezbyt niepewnej co do zawleczenia z powodu wypraw chińskich!) zemścić się na społeczeństwie, które lekceważy sobie schorzałość ubogich, azatem i najbardziej w warunkach wręcz zdrowiu szkodliwych pogrążonych, i temsamem zakażeniom najpodatniejszych klas ludności...

Nie zna położenia lekarza w społeczeństwie ten, kto sądzi, że lekarzy szpitalnych awansować należy, według zasług i zdolności, a nie według starszeństwa w służbie szpitalnej. Wynik działania lekarza w interesie zdrowia chorego nie zależy bynajmniej od jego usiłowań, lecz od przyrody, siły ustrojowej chorego, a więc li tylko od Boga samego.

Gdyby wynik działalności zawodowej lekarzy zależał od nich samych, byłoby słuszną rzeczą szpitalnych ich kolegów awansować „według zasług i zdolności“, a nie według starszeństwa w służbie szpitalnej. Ale przyzna bezstronny obserwator, że podstawę całego przebiegu choroby daje wyłącznie przyroda chorego, w zupełności od łaski Boskiej zależna. Tu może lekarz tylko albo mieć szczęście, lub może go brakować... Tymczasem niemal każdy członek społeczeństwa, w wirze kłopotu, ogarniającego jego umysły podczas choroby najbliższych, lub i własnej, zapomina o tej prawdzie, i w razie, gdy przetrwa grożące mu niebezpieczeństwo śmierci, — staje się lekarz „zdolnym i zasłużonym“, jeżeli zaś ręka Boska wykona swą wolę i przeniesie chorego w byt pozagrobowy, — spada w oczach otoczenia nieboszczyka zupełnie niesłusznie, do poziomu „rzeźnika“, „szarlatana“... Nic to dziwnego, jeżeli przeciętne jednostki ogółu społecznego pod tak fałszywym kątem zapatrują się na stosunek sprawy zdrowia i choroby cierpiących, do dźwigających ich z tej ostatniej zawodowców. Ale przewodnicy kraju, wyraz umysłowej potęgi narodu, powinni traktować ich z szerszego widnokręgu.

Lekarz, jako narzędzie w rękach samego Pana Boga, nie może w innej mierze służyć narodowi, jak tylko w charakterze pewnego rodzaju kapłana. Czyż takiemu człowiekowi opatrznościowemu, w najlepszem słowa tego znaczeniu, — można dawać korzystniejsze, niż początkowo, posady azatem i płacę „wedle zasług i zdolności“, od których wynik przebiegu leczenia nie zależy? Jeżeli każdy z nich daje tylko tyle choremu, ile dać może z woli Boskiej, ponieważ i własne jego zalety Bóg sam stworzył i rozwinął, a więc i on musi to czynić, do czego Tenże mu dał siły ustrojowe i duchowe, — więc „awans według starszeństwa“ może być jedynie sprawiedliwą normą wynagrodzenia lekarzom szpitalnym.

Sprawa młodych lekarzy — zmowników jest wielką i świętą, bo słuszną na wskróś, i wszelkie usiłowania zabagnienia jej i wypaczenia ich własnych intencyj i dążeń, lub tembardziej steroryzowania opacznie rozumować mogących z pośród nich jednostek, nie dadzą się ludziom o czystem sumieniu i rozsądnej myśli z zimną krwią obojętności, lub lekceważenia przyjąć...

Dr. Kazimierz Rakowski.

Przez ciernie i głogi.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

VII. Po ciernistej drodze.

Berlin jest to wielkie mrowisko, w którem każdy, kto chce, może się ukryć przed oczyma ludzi. Kryją się w niem tacy, co swego szczęścia chcą bez zazdrosnych oczu ludzkich w cieniu używać, kryją się i tacy, co swej biedy na niczyje politowanie nie chcą wystawiać.

Beńkowski nie łudził się wcale nadzieją, że uda mu się odrazu po przyjeździe uzyskać przyjęcie do politechniki, ale przedewszystkiem chciał ukryć się przed wszystkimi ze swą biedą i ze swem zwichniętem położeniem, wobec którego, jak widział, każdy miał tylko wzruszenie ramion i słowa: „Sam sobie winien — poco się mięszał do polityki".

W politechnice spotkała go zrazu stanowcza odmowa, — potem zaś, po długich pertraktacyach z urzędem policyjnym, obietnica, że jeśli, mieszkając rok w Berlinie, będzie się zachowywał bez zarzutu, tak, iż władza policyjna dobrego mu świadectwa nie odmówi, to będzie przyjęty.

Beńkowski więc uczepił się tej myśli i postanowił przez ten rok przechodzić samodzielnie kurs pierwszego oddziału, aby potem skrócić sobie czas nauki.

Fundusze jego z niezwykłą szybkością topniały. Pierwsze dwa tygodnie pożarły mu tyle, że później, rozejrzawszy się w Berlinie i warunkach bytu, mógł za taką samą sumę dwa miesiące przeżyć. Starał się o lekcye prywatne języka polskiego, ale nie mógł z początku nic znaleść. Gdy poszukiwał zajęcia, kilkakrotnie wskazywano mu drogę — zbieranie ubezpieczeń.

Kilka razy dostał jakieś tłumaczenia do zrobienia i zarobił na tem po kilkanaście marek, wreszcie dostał godzinę dziennie lekcyi języka polskiego u oficera akademii wojskowej. Dostawać miał za to 20 mk. miesięcznie. Wobec tego, że jego fundusze się kończyły, przyjął tę lekcyę, jak jedyną nadzieję zbawienia.

Przedpołudnie spędzał codzień w bibliotece publicznej rządowej, lub w muzeach przemysłowych, przechodząc kurs pierwszego oddziału. Praca jego w bibliotece kończyła się o trzeciej popołudniu — to jest w chwili, gdy zamykano biblioteki. W domu książek żadnych do nauki nie miał i mieć nie mógł.

Tak przeszło lato i nadeszła jesień. Z dwudziestu marek miesięcznego zarobku nie mógł się utrzymać, więc co miesiąc coś z jego rzeczy przenosiło się do lombardu, lub do handlu starzyzną. Z kraju miewał wiadomości dość rzadko. Ogromnie go wzburzyła wiadomość, że przy rozpoczęciu nauk w gimnazyach władze policyjne prawie we wszystkich miastach Księstwa i Prus Zachodnich, odbyły ścisłe rewizye. Poszukiwano tajnych stowarzyszeń między gimnazyastami. W Brodnicy sędzia śledczy straszył chłopców przysięgą i aresztem, jeśli prawdy nie wyznają. „Czego oni szukają, czego oni szukają! mówił do siebie wzburzony Beńkowski. Przecież Siekierzyn był jedyny! Żeby to i gdzie indziej coś było — ba! Ale i w Siekierzynie nawet po moim odjeździe zamarło wszystko!"

W istocie po wyjeździe Beńkowskiego połączonych z tym objawem aferach w Siekierzynie ustał wszelki ruch między uczniami Polakami. Obawiali się poprostu komunikować ze sobą. W innych gimnazyach to samo. Uczeń Polak obawiał się wziąć do ręki polską gazetę w obawie, że będzie za to musiał odpowiadać przed sędzią śledczym.

Monotonię życia Beńkowskiego przerywały tylko zrzadka nadchodzące listy od matki, oraz wizyty Stefka Rudzkiego. Stefek, który pracował w jednym z pierwszorzędnych magazynów krawieckich, najwidoczniej miał polecenie od ojca, aby Beńkowskiego się pytał, czy nie potrzebuje pieniędzy. Lecz na kilkakrotne propozycye pożyczki, Staś odpowiadał zawsze odmownie. Sądząc, że to jest wynikiem jakiejś dumy Beńkowskiego, który będąc niby studentem, wstydzi się przyjmować pomoc od krawczyka, Rudzki coraz rzadziej pokazywał się w pokoiku Stasia na czwartem piętrze.

— — — — — — — — —

Właśnie wybiła ósma godzina rano na zegarze, znajdującym się na pobliskim kościele, gdy Staś Beńkowski otworzył oczy. Przy przebudzeniu się, dziwnego doznał wrażenia; w jego pokoiku było tak jakoś dziwnie jasno, widno. Szare tapety przybrały jakiś polor świeżości, a nawet nieprane od dawna firanki przy oknie jakąś odświętną, białą przybrały szatę. Przez okno wpadała do pokoju smuga jasności... W nocy spadł śnieg i oto leżał świeży, jasny, niepokalany, mrozem ścięty, jak rozpostarta na dachach domów oponica biała. Szerokie płaskie dachy przeciwległych fabrycznych budynków zlewały się w jedną całość z niebem tak, że linie ich konturów chwilami były zupełnie niewidoczne. Tylko szeregi kominów czarnemi cegłami swemi silnie odbijały się od białych płaszczyzn dachów.

Pierwszy śnieg!

„Jak to dobrze jednak mieszkać na czwartem piętrze", pomyślał sobie Staś, któremu się przypomniało, że gospodyni, u której mieszkał, przy wynajmowaniu pokoju, niezmiernie mu zachwalała czwarte piętro, „ponieważ powietrze najczystsze, piękny widok, a przy tem widno". I w istocie, jak gdyby czarem, monotonne i ponure zabudowania fabryczne, po drugiej stronie ulicy zmieniły się na wesołe i jakby uśmiechnięte.

„Bo też dziś już pierwszego grudnia" rzekł do siebie Staś, idąc do miski z wodą, aby się umyć.

„Brr! — a to zimna woda!" syknął nagle, spryskawszy twarz wodą. W istocie woda była jak lód zimna. Mróz wziął pod wieczór i trzymał przez całą noc. W pokoiku było zaledwie parę stopni ciepła. „Trzeba będzie kazać palić", pomyślał Beńkowski i obawa go ogarnęła Bo i jakże tu zdobyć się na nowy wydatek. Przez cały listopad nie palił ani razu w piecu z oszczędności, a gdy mu było bardzo zimno, rozgrzewał się herbatą, którą gotował na maszynce spirytusowej.

Zaledwie się ubrał, gdy do drzwi jego pokoiku zapukano. Weszła jego gospodyni, niosąc zwykłe w Berlinie śniadanie dla lokatorów meblowanych pokoi: filiżankę kawy, pozbawionej smaku i zapachu, rozwodnionej tak, że była przezroczysta, a obok tego jeden kawałek cukru, odrobinkę mleka w kubeczku i suchą bułkę.

Powiedziała zwykłe „*Gut Morgen*" i stawiając kawę na stole, położyła rachunek za miesiąc listopad.

Beńkowski, mając zaledwie markę całego majątku, zakłopotany odezwał się: „*Frau Gärtner*, ja dopiero dziś popołudniu będę miał pieniądze". Gospodyni kiwnęła głową na znak zgody, a w tejże chwili Beńkowski, rzuciwszy okiem na rachunek, dostrzegł oprócz zwykłych dwóch pozycyi: — mieszkania 10 mrk. i śniadania — 2 mrk. 50 f., jeszcze trzecią, która brzmiała: za usługę 50 fen.

Beńkowski w tej chwili się zapytał, co to ma znaczyć, a gospodyni nieukontentowanym głosem mu odrzekła:

„To trudno proszę pana! Ja zamało zarabiam. Pan nawet nie każe palić w piecu! Ja tak nie mogę! mój pokój obok pańskiego przez to ziębnie, że pan nie pali! Czy to pan myśli, że sąsiedzi ze wszystkich stron będą pana ogrzewać, a sam pan będzie oszczędności robić na opale?"

„Ja właśnie chciałem powiedzieć pani —".

„Bez palenia — ja pokoju nie wynajmuję, przerwała mu gospodyni, — a nie wiem, gdzie pan znajdzie tańszy pokoik".

Zanim Staś zdołał coś odrzec, dał się słyszeć dzwonek u drzwi wchodowych i gospodyni wyszła, aby otworzyć. Staś pozostał sam. Wziął do ręki rachunek, wykazujący zamiast dwunastu i pół — trzynaście marek, — i niby patrzył na liczby, ale właściwie myślał, jak on ma się urządzić, aby w tym grudniu z głodu nie umrzeć. Za lekcye języka polskiego dostawał na miesiąc dwadzieścia marek i to był cały jego dochód, nie licząc jednej lub dwóch na miesiąc przesyłek z żywnością, którą mu przysyłała matka ze wsi. Z tych dwudziestu marek po opędzeniu wydatków za mieszkanie i śniadanie, zostawało mu siedm i pół marek na życie. Dwie marki wydawał na cukier, spirytus do palenia i chleb na kolacyę; obiady po 30 fenigów w dorożkarskiej „budce — czyni dziewięć marek, czyli, że mu brakowało półczwartej marki do obiadów. W listopadzie też sprzedał za ośm marek palto letnie, pokrył z tych pieniędzy deficyt, zapłacił za pranie i kupił herbaty.

„Ale teraz cóż sprzedam?" myślał, z niepokojem spoglądając na piec, który miał pochłonąć przynajmniej półtorej marki na miesiąc.

Smutne te rozmyślania przerwała gospodyni, wchodząc z listem w ręku do pokoju Stasia.

„Był jakiś żołnierz, powiedział, że jest służącym porucznika, do którego pan przychodzi na lekcye i oddał dla pana ten pakiet“ rzekła Gärtnerowa, podając mu mały pakiecik.

Staś wziął do ręki zawinięty w gazetę kwadratowy przedmiot i mimowoli drgnął. Poznał przez cienki papier, że to była książka, — niewątpliwie jego słownik, który pożyczył oficerowi do lekcyi. Co to miało oznaczać?

Drżącemi rękoma rozpakował gazetę i przekonał się, że to był istotnie jego słownik. W książce znajdował się list. Treść jego była krótka. Porucznik donosił mu, że dyrekcya akademii wojskowej w tych dniach zamierza wydelegować go na prowincyę, azatem on lekcyi nadal brać nie będzie, książkę odsyła z podziękowaniem i załącza zwykłe 20 mrk. honoraryum, oraz 5 mrk. dodatkowo jako odszkodowanie za nagłe przerwanie nauki.

Nie mówiąc ani słowa, Staś podał gospodyni dwadzieścia marek i jej rachunek. Kładąc mu resztę na stole, Gärtnerowa rzekła: „Pan mi się wydaje zmartwiony. Czem to?“

Staś odrzekł: „E, nic. Jeden z moich uczniów zawiadamia mnie, że z powodu wyjazdu musi przerwać lekcyę. To zmniejsza moje dochody“.

„To źle“, rzekła gospodyni.

„Czy pani mogłaby mi dać jaki tańszy pokoik na grudzień, zamiast tego?“, zapytał Staś, z trudnością zmuszając się do propozycyi, która go upokarzała.

„Pan chciał jeszcze tańszy? roześmiała się jakimś nielitościwym śmiechem Gärtnerowa. Przecież pan wie najlepiej, żem panu oddała najtańszy pokój i nic na nim nie zarabiam: ten student po prawej stronie płaci szesnaście marek, ten praktykant pocztowy płaci czternaście, — a nawet ta panna, co ze mną w jednym pokoju mieszka, płaci dwanaście: pan jeden płaci dziesięć, i pan w piecu nie pali!“

„Proszę pani, odrzekł nieśmiało Staś, pani mogłaby mi wynająć ten pokoik przy kuchni“.

„Ten — — od podwórza — mały“ dodał, widząc, że gospodyni zdaje się go wcale nie rozumieć.

W istocie Gärtnerowa w pierwszej chwili go nie zrozumiała. Pokoik, o którym wspomniał, była to ponura komórka, używana przez dawnych lokatorów za spiżarkę, lub łazienkę. Średnich rozmiarów okienko, wychodziło na podwórze, zabudowane w czworobok, tak, że promienie słoneczne przedostawały się tym chyba w porze południowej. Pokoik ten był tak wąski, że łóżko z trudnością wstawić było można. Gärtnerowa używała tej komórki na skład rupieci wszelkiego rodzaju. Stały tam kuferki lokatorów, bańka z naftą i lampy, szczotki do czyszczenia butów i złamane jakieś krzesło, wreszcie rower studenta.

„Ależ tam niema wcale pieca“, rzekła Gärtnerowa.

„To nic nie szkodzi“ odrzekł Staś. Właśnie szukam takiego pokoju. Wstawi pani łóżko żelazne, a krzesło, stoliczek mały, umywalkę, — przybije się wieszadła i będę zadowolony“.

„Tak, tak, przeciągle wycedziła Gärtnerowa, która w miarę zwiększania się spartańskich upodobań swego lokatora, coraz bardziej z góry go traktowała, — „ale ja muszę w ten sposób kupić łóżko i żelazną umywalkę nową dla pana. Pociąga to wydatki — a ja nie wiem, jak pan długo będzie u mnie mieszkać“.

„O, będę długo“, zapewniał Staś.

„No, to chyba, że mi pan pomoże wszystko tam uprzątnąć i powynosić nowe sprzęty“.

„Owszem“, oświadczył Staś.

„A co do ceny, to ja sądzę, że dziesięć marek razem ze śniadaniem i usługą, nie będzie panu za drogo“ — rzekła gospodyni.

„Dziesięć marek! zawołał Staś. Za tę klitkę!“

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kazimierz Gliński.

BAJKA.

Chodziła Bajka od płotu do płotu —
A Bajki gdzież nie przyjmą?
W chałupach dla niej serce z pod zioberka wyjmą,
W dworach nie zrobi kłopotu;
W pałacach nawet do komnat wprowadzą,
Przy stole posadzą,
Nie w sieni z lokajstwa tłuszczą — —
Ustroją,
Napoją,
Jeść dadzą
I puszczą.

Chodziła — ale jakieś złe czasy nadeszły —
Zapomniał o Bajce wiek przeszły,
A nowy?...
Kto wie, czy poznać raczy, bo dziś ludzkie głowy
Ubrały się w rozumy,
Pychy pełne i dumy —
Choćby na Bajce była suknia ogoniasta
I miała strój tęczowy:
Wypędzą ją — i basta!

Lecz tęskniła do ziemi ona Bajka dawna.
Wesoła, dowcipna, zabawna,
Co to drogiego czasu na próżno się straci,
Ale plecie różne figle
O gawronie, dudku, szczygle,
Że nawet sensat uśmiechnąć się raczy,
Nim, spojrzawszy w zwierciadło, gawrona zobaczy
Lub dudka w własnej postaci.

Lecz kto wie? może dawno niewidzianej gości
Z okrzykiem przyjmą radości —
Antyk przywabia,
Rzecz zapomniana, jako nowość nęci...
Niejedna gospodyni przy niej się pokręci
I zrobi miejsce na ławie —
Nawet pan hrabia
Spojrzy łaskawie
I powie: „*Bon jour*, Bajko!.. *Venez donc*, me dziecię!
Siadaj
I gadaj,
Co tam nowego na świecie?

Tak myśląc, skrzydła lekkie ku ziemi opuści,
I niewidziane dawno śpieszy ujrzeć strony,
Nasamprzód wchodzi na pańskie salony,
A jużci!
Bo tam pachnąco, i strojnie, i modnie,
I stąpać miękko i usiąść wygodnie,
I przyjemnostek różnych jest się blisko,
Ciepło i... ślisko.
Idzie spokojna, lecz, ledwie w drzwiach stanie,
Coś ją odtrąci za próg niespodzianie...
Jakiś tłum mnogi
Krępuje nogi,
Za łokcie szarpie, za fałdy kitajki — —
Patrzy — nie wierzy...
Strach włosy jeży:
A to po wszystkich pokojach,
W odświętnych strojach
Chodzą stare i nowe i najnowsze bajki —
Nie oszczędzają nikogo,
Czernią, jak mogą.

Uderzyła w ciemię —
I poszła, by już nigdy nie wrócić na ziemię.
Tylko się dziwi, sierota,
Skąd takie liczne a paskudne plemię,
Wydała tak niewinna, jak ona, istota?





Scena z wojny polsko rosyjskiej z r. 1831.

Kazimierz Wróblewski.

Młodość Kornela Ujejskiego.

(1823—1843)

(Ciąg dalszy)

SZKIC LITERACKI

Najwyraziściej zaś zarysowała się postać stolnika sandomierskiego, regimentarza konfederacyi barskiej, o którym tradycya rodzinna mówiła, że będąc pierwotnie wyznawcą kościoła aryańskiego [1]), powrócił na łono katolicyzmu.

Mój pradziad, sól w oku całemu aryaństwu,
Bo błędy na starość odprzysiągł kacerskie,
Pół wieku prowadził rzemiosło rycerskie,
A mówią, że dziki był w wojnach i skory,
Na karkach bądź jakich złe spędzać humory.
. . . .
Aż nagle szwankować poczęło mu zdrowie.

I kiedy już niemoc zsunęła go z siodła,
Pożegnał swe znaki i osiadł w Świerczkowie.

Chwila, w której wypadło podróżnikom naszym opuścić już Świerczków, zapisała się także nader żywo w pamięci Kornela. Kiedy już Ujejscy, ojciec i syn, mieli ruszyć w drogę,

Nadeszła gromada z sołtysami w czele
Między nimi jedno półwiekowe stadło
Któremu dziad jeszcze wyprawiał wesele.
I wszystko do kolan się ojcu schyliło
I zaczęło prosić: „Zostań, panie, z nami,
Bo dobrze nam było z twoimi ojcami.
Z nimi naszym oczom pół słońca ubyło;
Zostań, panie, z nami, prosimy z miłością,
Niech znów nasze ręce zejdą się na łanie,
A głosy w kościele, a w grobie kość z kością,
To Bóg się ucieszy. O wykup nas, panie!"

Oczywiście Erazmowi Ujejskiemu niełatwo było tak z miejsca uczynić zadość tej prośbie. Toteż pozostała ona niespełniona, ale

Ojciec twarz odwracał i na bok pozierał,
I nibyto czoło ze znoju ocierał —
Snać płakać przy synie miał sobie za zakał;
Bystre oko dziecka — widziałem, że płakał.

Rzewna ta chwila nietylko, że przywiązała Kornela bardziej do prastarego gniazda rodzinnego, ale zarazem rzuciła mu w serce ziarna tego przywiązania do ludu, któremu dawał później wyraz w swoich utworach.

Na Świerczkowie podróż się nie urwała, stamtąd bowiem Erazm Ujejski zawiózł syna do Wieliczki dla zwiedzenia tamtejszych żup solnych. Wrażenie ich także wpiło się trwale w pamięć poety wraz z postacią „bladego, kościstego" przewodnika, który prowadził ich uprzejmie w różne strony ciemnych kurytarzy.[2])

Z Wieliczki po dokładnem zwiedzeniu wszystkiego, co w niej warto widzieć, ruszono do Krakowa,[3]) stąd do Tyńca i Lanckorony, a potem w Tatry.[4])

---

[1]) W Polsce byli także Ujejscy wyznania kalwińskiego. D. Aram pisał w roku 1704 do Jabłońskiego, seniora braci czeskich w Wielkopolsce, że w zborze kalwińskim w Sieczkowie, w województwie sandomierskiem bywał „J. P. Ujejski żonaty". Łukaszewicz: Dzieje kościoła helweckiego w dawnej Małej Polsce Poznań 1853 str. 409.

[2]) Podróż przerwana Wyd. lip. str. 93. 94.

[3]) Tamże.

[4]) Tamże str. 100.

Chciał ojciec pojechać z Kornelem jeszcze za granicę. Kornel sprzeciwił się temu stanowczo i skutecznie.

. . . . . Gdy słupy ujrzałem graniczne,
Gdzie wszystko obce wstrętne i odjemne,
A tuż za sobą zostawiłem w krasie
Ojczyznę . . . .
Rzekłem: Mój ojcze! każ nawrócić konie,
Nic tam nie znajdę, a co mam uronię.[1])

II.

Po powrocie z podróży, która wpłynęła dodatnio na organizm Kornela, trzeba się było porządnie zabrać do książki tembardziej, że nauka jego rozpoczęta wcześnie, nigdy dotąd nie szła jakimś torem normalnym, że chłopak rozmiłowany w opowiadaniach ojcowskich, wolał słuchać powieści o towarzyszu Bolesława Śmiałego, Szreniawicie, który

Z rozdziczałem sercem w okropnej przechwałce
Na bożego sługę miecz podniósł na Skałce,

niż ślęczeć nad wypracowaniami.

Najbliższem Beremian miastem, posiadającem szkołę średnią, był Buczacz, siedziba zakonu O.O. Bazylianów, którzy utrzymywali przy klasztorze głośne na Podolu gimnazyum sześcioklasowe. Tu tedy postanowiono oddać Kornela Ujejskiego.

Niewarto wdawać się w specyalną ocenę szkoły buczackiej, w której przyszły poeta miał otrzymać wykształcenie średnie, poprostu dlatego, że szkoła ta nie różniła się niczem od innych szkół takich w kraju. Celem jej było niemczenie młodzieży, któremu najzupełniej odpowiadał plan naukowy, a poziom szkoły był niski, jak wszystkich szkół galicyjskich, wiele niższy od poziomu zakładów wychowawczych w innych prowincyach austryackich. Szczegółów mogących posłużyć specyalnie do charakterystyki szkoły buczackiej, nie znamy ile, że wszelki materyał rękopiśmienny, akta szkolne, spisy uczniów i nauczycieli w innych szkołach, żeby wspomnieć tylko Przemyśl, lub Tarnopol, obfite, zaginęły. W tradycyi tylko pozostało wspomnienie braku karności szkolnej, którą OO. Bazylianie naprózno starali się utrzymać śród młodzieży zapomocą rózgi, używanej równie często, ile bezskutecznie. Kornel Ujejski opowiadał w latach późniejszych, że „niegorliwie brał się do nauki" w szkole buczackiej „może głównie wskutek owoczesnego wstrętnego systematu w Austryi, przedewszystkiem obliczonego zgóry na to, aby powytępiać żywsze i samodzielniejsze umysły młodzieży".[2]) Jednakże rodzice nie rzucili Kornela zupełnie na pastwę nauki szkolnej, ale w celu kształcenia go, przenieśli się sami najpierw do Buczacza, aby módz chłopca nie spuszczać z oka, następnie zaś braki szkolne usiłowali wyrównać zapomocą odpowiednich nauczyc. prywatnych i guwernerów, mających wyręczyć szkołę w należytem wypełnianiu jej zadań.

---

[1]) Tamże str 101.

[2]) Bądzkiewicz str. 6.

Dla uzupełnienia wykształcenia dzieci Erazmostwo Ujejscy przenieśli się w r. 1839 do Lwowa, równocześnie zaś Erazm Ujejski, dla którego pobyt w mieście nie był zbyt miłym, wydzierżawiwszy własny majątek jeszcze w r. 1837,[1]) sam wziął w dzierżawę wieś Dawidów, w powiecie lwowskim, posiadłość konwentu OO. Dominikanów.

Systematyczne wykształcenie zakończyło się na Buczaczu, bo odtąd Kornel Ujejski wolał lekturę swobodnie obieraną, niż mozolną pracę naukową, wolał „tułać się" po lasach z jakąś książką, która go żywo zajęła, niż ślęczeć nad zadanemi lekcyami, wolał wreszcie bawić się muzyką, która odtąd stanowiła zawsze ulubione jego zajęcie, niż zużywać energię swoją na wykonanie poleceń nauczycieli. Stąd to poszło, z czego nawet robiono Ujejskiemu liczne zarzuty, że brakło mu zawsze wykształcenia systematycznego, co uderza niekiedy w jego utworach, a artykułom, pisanym prozą, nieraz przynosi szkodę niemałą.

Życie umysłowe i literackie w chwili, kiedy Kornel Ujejski znalazł się we Lwowie, poczynało bardzo powoli budzić się z letargu. Letarg ten był bardzo długoletni, trwał bowiem od przyłączenia Galicyi do Austryi w r. 1772, a tak głębokim, że kilkakrotne usiłowania, aby go przerwać, okazały się bezskutecznemi.

Katedrę literatury polskiej w uniwersytecie, gdzie zresztą panowała powszechnie niemczyzna, a poziom naukowy szkoły, mimo kilku sił wybitnych, nie był wcale wysoki, katedrę tę zajmował człowiek (Mikołaj Michalewicz),[2]) który zapewne w pewnej mierze nie mógł, ale i nie miał w tym kierunku uzdolnień, ani nie umiał, podnieść znaczenia przedmiotu swojego w szkole samej, ani też przez katedrę oddziaływać na szersze koła młodzieży i inteligencyi. Stąd też katedra ta, gdzieindziej zawsze ważna i znacząca, tu nie miała żadnego znaczenia w życiu umysłowem kraju, a uczniowie, którzy z szkół średnich niemieckich, stojących niżej poziomu elementarnych wymagań pedagogicznych, nie wynieśli żadnej znajomości piśmiennictwa narodowego, nie mogli go także otrzymać w uniwersytecie, istniejącym przedewszystkiem dla szybkiej fabrykacyi sił urzędniczych.

Nie było także na Rusi Czerwonej publicystyki literackiej, którąby skupiała jednostki rozproszone, w czystości uczuć narodowych czerpiące ochotę do zajmowania się rzeczami ojczystemi, i któraby ochotę taką budziła u szerszego ogółu.

G a z e t a l w o w s k a, istniejąca od r. 1811, wraz z wydawnemi przy niej R o z m a i t o ś c i a m i (od r. 1817) wiodła żywot bardzo marny, żyjąc i żywiąc czytelników głównie przedrukami i przekładami, nie

---

[1]) Z tego czasu pochodzi kontrakt dzierżawy.

[2]) Dr. Ludwik Finkel: Historya uniwersytetu lwowskiego do r. 1869. Lwów 1894 str. 282.

mówiąc już o tem, że informacye jej „oryginalne“ bajecznie późne, miały nierzadko charakter pospolitej plotki. Nie miał także żadnego znaczenia dla literatury, wydawany od r. 1833. Przyjaciel prawdy chrześcijańskiej, a to były jedyne dwa pisma, mające między r. 1830 a 1840 żywot dłuższy, nie licząc wydawanej od r. 1824 do 1840 niemieckiej Mnemosyne, mającej z piśmiennictwem polskiem związek niezmiernie mały (kilka przekładów).

Na chlubę jednakże pokolenia ówczesnego potrzeba powiedzieć, że usiłowania w celu obudzenia ruchu literackiego były i nie odrazu, ale z czasem wydały plon obfity. Na razie zazwyczaj pełzły na niczem. Młody a zdolny i rozmiłowany w literaturze nowogreckiej Józef Dunin Borkowski „przygotował w r 1837 znaczny zapas artykułów tak swoich, jak i swoich przyjaciół i zamierzał wydawać pismo tomikami w nieoznaczonych okresach, pod napisem: „Prace literackie“, ale rychło przekonał się „o niepodobieństwie wydawania go odpowiednio potrzebom i wymaganiom publiczności i zostawił to do pory sposobniejszej“.[1]) Wszechstronny, choć jako pisarz bardzo mierny Stanisław Jaszowski usiłował wydawać Sławianina, na wzór wcześniejszej Ziewonii (wydanej w r. 1834) Bielowskiego, i zdołał wydać dwa tomy, poczem zawezwany przez Zielińskiego do współudziału w redakcyi Lwowianina, wychodzącego od r. 1835, naprożno starał się nadać temu pismu charakter poważniejszy, nie udało mu się bowiem pokonać uprzedzeń Zielińskiego, który nie miał żadnych kwalifikacyj na literata i redaktora.[1])

Po roku 1850 ruch wydawniczy i literacki ożywił się znacznie, choć krępowały go mocno więzy cenzury, złośliwie nieraz utrudniającej pracę redaktorom i wydawcom. Około tego roku mieszkający stale we Lwowie i zatrudniony w bibliotece Zakładu Osolińskich August Bielowski poczynał powoli brać rozbrat z poezyą, której przez lat blisko dziesięć wiernie służył, a zabierał się do poważnych studyów historycznych, których owocem stał się później Wstęp krytyczny do dziejów Polski i Monumenta. Bywali także częstymi gośćmi Lwowa; Leszek Dunin Borkowski, tak gorąco zajmujący się wówczas ruchem literackim, jak w kilkanaście lat później politycznym — mieszkał zaś nad Pełtwią, coraz to wówczas popularniejszy powieściopisarz, Józef Dzierzkowski, dalej dobijający się śpiesznie uznania i wpływu Jan Dobrzański, początkujący jeszcze wtedy Karol Szajnocha, Żegota Pauli, pracowity wydawca Starożytności galicyjskich (1838 - 40), Stanisław Przyłęcki i kilku innych. Tu można się było zetknąć z Wincentym Polem, wielkiej wtedy powszechnie zażywającym powagi, z serdecznym przyjacielem Borkowskich, Dominikiem Magnuszewskim i z szwagrem jego, Kazimierzem Władysławem Wójcickim, który przez krótki czas mieszkał we Lwowie,[1]) także z Lucyanem Siemieńskim, liczącym się do przyjaciół Bielowskiego tak, że zastęp pracowników pióra był znaczny, a z dniem każdym powiększał się, zyskując prozelitów i zwolenników.

Wszyscy wymienieni grupowali się około Zakładu narodowego im. Ossolińskich, którego księgozbiór dostarczał wszystkim pożądanego pokarmu umysłowego, a jednoczyło ich dążenie do ożywienia życia umysłowego w rozmaitych kierunkach, na polu historyi i dziejów piśmiennictwa, powieści i poezyi, krytyki literackiej i przekładów najcelniejszych utworów literatur zagranicznych.

Wśród tego grona ludzi panowały nader serdeczne stosunki towarzyskie. Opowiada o tem, świadek tych czasów i uczestnik prac wtedy podejmowanych, Władysław Zawadzki,[2]) że częste zebrania u Pola, Dzierzkowskiego i najliczniejsze, a nieograniczone tylko do literatów, u dyrektora Zakładu Ossolińskich, Kłodzińskiego, ułatwiały niezmiernie porozumienie ludzi piszących nad Pełtwią, były często areną popisów dla początkujących, wątpiącym w talent własny niosły zachętę, dla innych były pobudką do tem żywszej pracy, dla wszystkich polem współzawodnictwa.

[1]) A. Bielowski: Żywot Józefa Dunina Borkowskiego. Album dla pogorzelców. Lwów 1844. str. 340.

[1]) Wł. Zawadzki: Literatura w Galicyi 1772—1848. Lwów 1878. Rozdział VIII.

[1]) Dzieła Dominika Magnuszewskiego Tom I. We Lwowie 1877 str. 15.

[2]) Op. cit. l. c.

Kamil Pert.

M'GERBI.

Przełożyła z francuskiego Bronisława Kowalska.

Był to dzień targowy; świt zaledwie rozjaśniał niebiosa; porucznik Lucyan Brun siedział przed drzwiami swego maleńkiego, białego domku, upajając się wrażeniami, jakich Algier dostarcza na wiosnę tym, którzy dotąd nie znali tych okolic.

Słońce, ukryte jeszcze za szczytami Arhouat, zabarwiało niebo delikatnym odcieniem fioletowym; żaden powiew wiatru nie poruszał powietrzem ciepłem, przepełnionem wonią białych maków, które rosły obficie na przestrzeni, przylegającej do Ain-Tefla. Nieskończony szereg osłów i małych koni, obładowanych jarzynami i owocami, zstępował ścieżkami, wijącemi się wężykowato po spadzistościach gór; kształty zwierząt odznaczały się szarawo wśród niepewnego oświetlenia wczesnego ranka. Wreszcie zaczęła się wychylać tarcza słoneczna z pomiędzy obsłonek chmur różowych. W ogrodach drzewa korkowe zabarwiały się jasną zielenią; wody wąskiej rzeczki Tefli, lśniły się wśród łożyska z czarnych kamieni.

Plac miejski ożywił się; otwarto drzwi kawiarni, gdzie zazwyczaj zbierali się oficerowie; capstrzyk odzywał się z poza szarego muru dawnego meczetu, przemienionego obecnie na koszary; kobiety, z twarzą nawpół przysłoniętą zasłoną, szły czerpać wodę ze studni, zanim natłoczą się Arabowie ze wsi ze swemi trzodami.

Wkrótce plac napełnił się osłami, które dźwigały najrozmaitsze zapasy żywności: owoce, jarzyny, kury i koźlęta. Na wierzchu tego ciężaru siedział Arab, gwiżdżąc i gestykulując z żywością.

Wszyscy z pośpiechem rozkładali swój towar, zasłaniając go od palących promieni słońca — kawałkiem płótna, przywiązanego do eukalyptusów, rosnących dokoła placu. Pod tym zaimprowizowanym daszkiem układali zręcznie w koszach jarzyny, a pomarańcze i figi berberyjskie wysypywali na ziemię, obok kurcząt powiązanych za nogi.

Zydzi rozkładali na starych dywanach drobne przedmioty, najczęściej jakieś wysortowane towary europejskie, chciwym, bystrym wzrokiem ścigając przechodniów.

Lucyan ustawił sztalugi i chciał naszkicować obraz, który się roztaczał przed jego wzrokiem: ten tłum ruchliwy, poruszający się w złotem świetle promieni słońca, które już teraz wychyliło się zza gór, oryginalne postacie kupców owiniętych w dziurawe burnusy, jaskrawe barwy jedwabi i owoców.

Tymczasem towarzysze Lucyana, zbierając się w kawiarni naprzeciwko i popijając piołunówkę, powtarzali, wzruszając ramionami:

— Z tego Lucyana to żadna pociecha, albo to żołnierz? Ot niedoszły artysta i tyle... Przyjechał po to do Algieru, aby malować obrazki i kupować łachmany od Murzynów.

* * *

Jednej środy, gdy upał południowy rozpędził z placu resztki handlujących, jakiś Arab wysypał na ziemię resztę owoców i trzymając konia za uzdę przystąpił do Lucyana.

— Jeśli potrzebujesz służącego, weź mnie — rzekł.

Lucyan podniósł głowę i popatrzył na człowieka, który go zaczepił. Był to mężczyzna młody, wysokiego wzrostu i wysmukłej postawy, obrzucony ciemnym burnusem; na głowie miał różowy zawój, którego frendzle, spadając na czoło, rzucały przejrzysty cień na ciemną twarz i połyskujące, łagodne czarne oczy.

— Dasz mi pieniądze wtedy, kiedy zechcesz — mówił dalej Arab. — Lubisz się przechadzać, otóż ja zapoznam cię z okolicą, zaprowadzę cię wszędzie...

Ruchem ręki wskazywał góry, doliny i piaski pustyni.

Porucznik nie potrzebował służącego; wystarczała mu usługa wojskowa; przyszła mu jednak myśl, iż ten Arab będzie znakomitym przewodnikiem w jego wycieczkach artystycznych. Zresztą podobał mu się, przyjął go więc. Wieczorem M'Gerbi spał już w domku oficera.

Upłynęło kilka miesięcy, wspólne wycieczki i rozmowy prowadzone nawpół po francusku, nawpół po arabsku, którego to języka Lucyan uczył się z zapałem, zbliżyły i połączyły węzłem przyjacielskim tych dwóch ludzi. Skoro tylko kilka kilometrów oddzielało ich od pułku i od etykiety cywilizowanego świata, zażyłość ich objawiała się wtenczas z zupełną szczerością. M'Gerbi okazywał namiętne przywiązanie oficerowi, który różniąc się w tem od swoich kolegów, nie obchodził się z nim szorstko, lub poniżająco. Lucyanowi podobała się oryginalność obejścia i wyrażeń jego nowego przyjaciela, jego poglądy, nieraz bardzo trafne, jego nieświadomość zwyczajów świata cywilizowanego. Podziwiał go, jako typ urody południowej, wrodzony wdzięk jego ruchów, czy to gdy marzył wsparty na poduszkach, wybijając palcami rytm jakiejś dziwnej melodyi, czy też gdy pędził na koniu, z rozpuszczonym na wiatr burnusem, zachęcając rumaka krzykiem i gwizdaniem do coraz szybszego biegu.

Obaj lubili błąkać się bez celu w miejscach pustych i odludnych, sypiać pod krzakami, napotykanemi wśród piasków pustyni, kąpać się w letniej wodzie strumieni.

Jednak życie to nie było bez chmury; czasem pierwiastki nienawiści rasowej powstawały i ścierały się z sobą groźnie i wtedy obaj czuli, że znajdują się na dwóch przeciwnych krańcach pojęć i dążności.

M'Gerbi miał szkaradną wadę: kradł. W mieszkaniu Lucyana pełno było drobnostek, wprawdzie niewielkiej wartości, ale które Arab porywał, gdzie się dało; na prośby i gniew Lucyana M'Gerbi odpowiadał:

— Przecież tobie nic nie biorę.

I rzeczywiście szanował wszystko, co należało do jego przyjaciela i czułby się bardzo szczęśliwy, gdyby Lucyan chciał był podzielić się zdobyczą.

* * *

Pewnego dnia, bardzo wcześnie, M'Gerbi obudził porucznika.

— Chodź — rzekł, a na jego twarzy malował się wyraz tajemniczo złośliwy, jak u dziecka pragnącego spłatać figla.

Lucyan, nie dopytując się, podążył za nim, wiedział bowiem, że Arab pokaże mu zawsze coś ciekawego.

Konie czekały już przed domem osiodłane; wsiedli i pojechali. Z godzinę pięli się po ścieżkach górskich, których Lucyan nie zwiedzał jeszcze dotychczas. Słońce zwolna ukazywało się na horyzoncie, rozświecając gorąco żółtem światłem rozpadliny skalne. W głębi doliny ukazywała się Ain-Tefla, otoczona zielenią, z szarym w pośrodku placem, na którym różowa plamą odcinał się płócienny dach kawiarni. Od strony północnej wznosiły się wierzchołki gór Djebel-Arhouat, ukazując to ostre i nagie szczyty, to stoki ubarwione błękitnem, białem, lub ponsowem kwieciem.

Nareszcie ścieżka piąć się zaczęła pomiędzy dwiema ścianami skał nagich. Nigdzie ani śladu siedziby ludzkiej, dokoła złomy granitu i pustkowie; nieokreślona trwoga przyśpieszała bicie serca Lucyana.

— Dokądże ty mnie prowadzisz? — pytał napróżno po kilkakroć swego przewodnika.

W umyśle jego przesuwały się ponure opowieści o zdradach Arabów. Ale M'Gerbi śmiał się i wiódł go dalej, nie odpowiadając na pytania.

Nagle zatrzymał konia, zsiadł i dał znak porucznikowi, aby uczynił to samo. Znajdowali się w ciasnym wąwozie pomiędzy skałami, poza któremi ginęła raptownie ścieżka. Gdzieniegdzie ze szczelin pomiędzy kamieniami wyrastały karłowate, ciernistе krzaki. Żółta barwa skał zlewała się z mocno błękitnem niebem.

Arab uwiązał konie, potem kładąc rękę na ramieniu Lucyana, powiedział ze słodyczą w głosie i spojrzeniu:

— Słuchaj, kocham cię, jesteś moim bratem, chcę ci pokazać swój dom.

Młody oficer wzruszony, odpowiedział mu silnym uściskiem dłoni. Znał on dostatecznie charakter mieszkańców Afryki, ażeby umieć ocenić wielkość podobnego dowodu zaufania. Dom, to znaczy jego życie rodzinne, żony, cały ten ustrój domowy, który Arab zazdrośnie kryje przed okiem cudzoziemców, wszystko to przywiązanie M'Gerbi'ego odkryje przed jego wzrokiem. O kilkadziesiąt kroków dalej grunt zapadał się, tworząc niewielką kotlinę, w której głębi widać było siedzibę Araba; była to mała, niska chata, ulepiona z gliny i otoczona zielenią, podsycaną przez strumyk, spływający ze szczytu góry.

Hałas spowodowany tem przybyciem, wywołał z ukrycia psy, które wypadły do nich z głośnem szczekaniem, lecz na głos pana umilkły.

Przed drzwiami, zasłoniętemi dywanem, siedziała stara kobieta, kołysząc w objęciach uśpione dziecię.

— To moja matka i moje dziecię, — rzekł M'Gerbi.

W tej chwili na progu chaty ukazała się młoda i piękna kobieta. Spostrzegłszy nieznajomego człowieka, chciała uciekać, lecz M'Gerbi zatrzymał ją kilku słowami.

— To jest N'dah, matka mojego dziecięcia — rzekł M'Gerbi, a poczciwy uśmiech rozjaśnił jego śniadą twarz.

Lecz w tejże chwili ruchliwa twarz jego spochmurniała; z żywością zadawał pytania kobiecie, powtarzając wyraz „Aisza".

Lucyan oddalił się przez delikatność, szukając chłodu pod cieniem drzew karłowatych, rosnących opodal domu.



Bertold Menkes.

KROTOCHWILE.*)

Rossowski — Gliński — a między nimi Alfred Capus, poeta „Figara“, krawców i kokot paryskich. Dobrana trójka! Żacy krakowscy, mniszki, Jagiełło — podgolone czupryny polskiej szlachty, Radziwiłł, „panie kochanku“ — — a między nimi bulwarowe piękności, podejrzanej konduity bankiery, próżniaczące nicponie. Wesołe towarzystwo!

Barwna dałaby się z konglomeratu tych postaci utworzyć allegorya repertoaru ostatnich tygodni. Same krotochwile... Krotochwilny Solski, krotochwilna Stachowicz, krotochwilny Chmieliński — cały teatr się „rozkrotochwilił“. Wesołość na całej linii. Szlachta polska spija na dworze magnata cały oceany wina, rój dam z półświatka wlewa w gardziołki szampańskie morza — — a audytoryum wzdycha: żeby tak zamiast rzędów krzeseł poustawiać w widowni stoliki, sprowadzić restauratora... toby dopiero była zabawa!...

W pracowniach teatralnych istne piekło. Statyści i statystki kilka rodzajów strojów codziennie przemierzają: kostyumy żaków i mniszek, szlachty i kokot. Stała komisya zajmuje się wiernem co do tła historycznego ustawianiem mebli zarówno w komnacie staroświeckiej, jak i salonie bawialnym współczesnej pseudoarystokracyi. Profesorowie historyi średniowiecznych uczą naszych artystów ruchów, gestów, akcentu, „wcielenia się w daną postać, celem uplastycznienia widzom owoczesnych zwyczajów“, najwybitniejsi dandysi miasta Lwowa pouczają boulwarowców i kokoty, jakie się nosi według najnowszej mody krawaty, jakie laseczki, jakie kwiaty w butonierce najmodniejsze i t. p. A wszystko się to robi dla rozweselenia i ubawienia widza. Cały teatr dlań się rozkrotochwilił...

— — — — — — — — — — — — — —

Komunikaty, jakie dyrekcya teatru rozsyła do redakcyi, zawierają prawie zawsze wieloznaczący dodatek, iż do przygotowującej się premiery postarano się o całkiem nowe dekoracye i kostyumy, lub że sztuka obfituje w sceny ensamblowe, występy masowe, dające reżyseryi wielkie pole do popisu, lub wreszcie, iż z wielkim komfortem urządzono dla drugiego np. aktu salon bankiera. Panowie Balk i Jasiński, dekorator, krawiec, rekwizytor, perukarz i tapicer — oto główne motory, od których zależy powodzenie sztuki lub jej upadek.

W tem widzę przyczynę marności obecnego repertoaru. Starając się o sztuki tz. kostyumowe, sytuacyjne, o których powodzeniu stanowi mniej lub więcej staranne ich uzewnętrznienie, zatraca się poczucie i potrzebę sztuk głębszych, niezależnych tak dalece od dekoratora i krawca. Widocznie jest to cechą reżyseryi dyr. Pawlikowskiego, iż najwyższy tryumf swego zawodu upatruje w s t y l o w e m, wiernem co do form zewnętrznych oddaniu epoki, w której akcya danej sztuki się odbywa. I w tem jest mistrzem. Temsamem jednak nie wyczerpuje swego zadania. Wystawiając sztuki kostyumowe powinien dbać także o te, u których forma zewnętrzna jest rzeczą podrzędną, jest tylko środkiem do osiągnięcia w y ż s z e g o j a k i e g o ś c e l u. O to właśnie chodzi. Teatr dopiero wtedy należycie spełnia swe zadanie, jeżeli poza pieknem, poza uzewnętrznieniem danego przez autora materyału, w widza tknąć może także ów podkład wyższy, ów cel, czyto moralny, czy etyczny, czy pedagogiczny, jaki autor miał na oku, pisząc dramat.

I tego właśnie działania nie widzę w naszym teatrze. Wystawia się rzeczy „ładne“, specyalizuje się w coraz to bardziej stylowem i pięknem uzewnętrznieniu obrazów dramatycznych, ale rzeczy głębokich, czyto z dziedziny dramatu, czy komedyi się nie wystawia. Teatr nasz działa na oko, ale nie na umysł, na duszę. Począwszy od „Zaczarowanego koła“, a skończywszy na „Nawojce“, zareprezentowano publiczności szereg takich utworów „ładnych“. Ta nierównomierność razić poczyna. Nie przeczę, iż od czasu do czasu wystawienie kostyumowego dramatu *pour epater les bourgeois* z wielkim nakładem komfortu i wystawy jest potrzebnem, sądzę jednak, iż koniecznie należy przeciwstawić takim utworom rzeczy o głębszej wartości i doniośliejszych celach, jak np. odzwierciedlenie życia tego a tego wieku. Przeglądając spis dotychczas wystawionych dramatów, spostrzegam właśnie hypertrofię tego kierunku sztuk dekoracyjnych, a postponowanie sztuk o większej wartości wewnętrznej.

Dotychczas nie przyszedł do głosu w nowym teatrze ani Henryk Ibsen, (tak mało w ogóle uprawiany na naszej scenie; prócz „Upiorów“, „Nory“ i „Dzikiej kaczki“, Ibsena o ile mi wiadomo u nas nie znają), ani Schiller, ani Goethe („Faust“ cieszy się w Krakowie bież. sezonu bajecznem powodzeniem), ani encyklopedyści frrancuscy, ani greccy dramatugowie („Oresteia Sofoklesa, odegrana przed kilkoma miesiącami we Wiedniu, niezwykle zainteresowała publiczność), ani—ku wielkiej radości jednych, a zasmuceniu drugich — dramat modernistyczny, a więc Maeterlick, Strindberg, Hofmaansthal, d'Annunzio i inni, ani wreszcie wielkie dramaty Szekspira. A z polskich: ani Wyspiański, ani Kisielewski nie doczekali się jeszcze wystawienia swych, tak cennych i znamiennych dla rozwoju polskiej sztuki, tworów dramatycznych.

— — — — — — — — — — — — — —

Cóż więc dzieje się w nowym teatrze!... Ot, karmi się publiczność krotochwilami, lub rzeczami „ładnemi“. Capusem lub Rostandem. Ubiera się aktorów w stroje jedwabne, aksamitne, czyni z nich milutkie, przyjemne dla oka figurynki, a publiczność zapełnia co wieczora salę i bije zawzięcie brawo. Wszak to jej gustom się schlebia... Znaną jest przecież jej zamiłowanie w utworach wesołych a miłych, nie natężających zbytnio umysłu, nie działających silnie na nerwy, a łechcących mile wzrok.

Tak to nastąpiło pogodzenie gustu publiczności z smakiem estetycznym dyr. Pawlikowskiego. Zanim teatr otworzono, spodziewałem się czegoś wprost przeciwnego. Sądziłem, iż między dyrekcyą a publicznością ostra rozpocznie się walka. Wszak tyle prawiono o tendencyi dyr. Pawlikowskiego do ujarzmienia, zmodyfikowania upodobań „rozoperetkowanej i rozfarsowanej“ przez byłą dyrekcyę publiczności, o jego stanowczości, z jaką na przełaj ogólnemu zdaniu zwykł się upierać przy wystawianiu utworów o wartości głębszej, niż krotochwila Capusa lub Glińskiego.

Sądziłem, iż sztuk takich nie zechce nawet tolerować jako część uzupełniającą repertoar.

Tymczasem stało się coś przeciwnego: miasto być częścią uzupełniającą, stały się krotochwile i sztuki dekoracyjne częścią wypełniającą repertoar. A może to tylko chwilowy kaprys?... Może; życzyćby jednak sobie należało, aby jaknajspieszniej minął, aby nastały czasy, kiedy dyr. Pawlikowski, jeśli chciał wystawiać komedyę, to dawał Fredrę, Sheridana lub Lamartine'a, a jak dramat, to Słowackiego lub Ibsena. Szkoda czasu i atłasu na capusowskie krotochwile.

*) „Nawojka“ Stan. Rossowskiego.
„Pieniądze albo życie“ Alfreda Capusa.
„Baśka“ Kazimierza Glińskiego.

Henryk Zbierzchowski.

MUZYKA.

Przepotężny duch muzyka germańskiego, przemówił znów do nas we wtorek, przez wznowienienie Lohengrina. Nowy nasz kapelmistrz p. Spettrino zaopiekował się szczególniej tą operą i po odbyciu całego szeregu żmudnych prób i przygotowań, okazał nam je jako próbę swoich zdolności muzycznych i wielkiej pracy.

Muzyka Wagnera w ostatnich dziesiątkach lat przechodziła dziwne koleje.

Z jednej strony wywołała w kołach muzyków i artystów fanatycznych wielbicieli, którzy aż do przesady doprowadzali drobiazgowość w tłumaczeniu istoty jego dzieł, z drugiej zaś strony, wywołać musiała wielką reakcyę w kierunku przeciwnym, której rzecznicy (Nietsche, Hanslick, Rubinstein) nie tylko kategorycznie odmawiali Wagnerowi słuszności w stawianiu nowych zasad w operze, ale przez ironię i złośliwe wyszukiwanie błędów, chcieli go zupełnie zgnębić...

W każdym razie to pewna, że muzyka Wagnera to olbrzymi krok naprzód w rozwoju sztuki, a wpływ jaki duch jego wywarł nie tylko na muzyków północnych, ale i na Włochów (Verdi) z zasady mu zresztą przeciwnych — jest prawie nieobliczalny. Nawet w literaturze nowszej zaznaczył się ten wpływ bardzo dobitnie; muzyka Wagnera pobudza fantazye poetów, wywołując w ich duszach cały szereg wizyi i odczuwań (Altenberg, G. d'Annunzio) Wagner sam w swoich dziełach estetycznych spodziewając się zarzutów niezrozumienia, tłumaczy każdy swój krok i stawia nowe zasady muzyki.

Ideałem jego było stworzenie dzieła, w którem możnaby zupełnie nierozerwalnie i jednolicie połączyć trzy pierwiastki dawnego dramatu greckiego: słowo, muzykę i ruch. Ażeby jednolitość tę uzyskać rzeczywiście, pisał libretta, układał sytuacye piękne i pełne czaru malarskiego, a dopiero potem ubierał to w formę muzyczną, która miała to wypowiedzieć, czego słowo samo dać nie potrafi. Muzyka wypełniała tu luki między wierszami, muzyka słowu nadawała właściwy charakter, właściwą intonacyę i głęboki podkład.

W taki sposób należy rozumieć dramat wagnerowski. Po operach, w których rozwiel-

możniły się zupełnie bezsensowe libretta, gdzie muzyka nie stała w żadnym związku ze słowem, a chodziło jedynie o nagromadzenie jak największej ilości aryi i duetów i efektownych scen, po takich dziwolągach chorego, zdeprawowanego romantyzmu i pseudoklasycyzmu, wystąpił Wagner ze swoją operą pełną poezyi, uroku i dzikiej, rozpętanej, żywiołowej prawie siły. Nie był on zupełnym nowatorem, ale oparty na Glucku i Beethovenie pchnął operę na nowe tory, zapatrzony w germańską poezyę ludową i w grecką tragedyę.

P. Spettrino wystawieniem Lohengrina podbił sobie zupełnie muzykalną publiczność Lwowa Orkiestra i chóry wystudyowane znakomicie, w duchu zgodnym z intencyami kompozycyi, przynoszą mu prawdziwy zaszczyt — p. Spettrino wystawił Wagnera z całym pietyzmem prawdziwego artysty i z zapałem młodego entuzyasty, za co mu wdzięczni być muszą wszyscy ci, którzy kochają sztukę.

Wykonawcy mimo najlepszych chęci i widocznej pracy nie wznieśli się ani razu do poziomu, jakiego wymagać się musi przy dziełach Wagnera. Wykonawca Wagnera musi być znakomitym aktorem, mimikiem, śpiewakiem, a przedewszystkiem bardzo inteligentnym człowiekiem. Jeżeli braknie chociaż jednego warunku, nie możemy mieć wtedy doskonałej i niezamąconej illuzyi. I w tem leży olbrzymia trudność dla śpiewaka.

P. Warmuth krył jak mógł Warmutha pod świetną szatą Lohengrina, ale nie podołał swemu zadaniu. Cudowne widmo Bandrowskiego chodziło krok w krok za nim, nie opuszczając go nawet w dyskretnej scenie z Elzą w III. akcie... Trudno! każdy daje tylko tyle, na ile go stać...

P. Strassern nie nadaje się zupełnie ze swoim ostrym, przenikliwym, pozbawionym liryzmu głosem do roli Elzy. (Intonacya p. Strassern chwilami niemożliwie chwiejna). Elza w interpretacyi p. Strassern była pozbawioną swej słodkiej, śpiewnej istoty i całego uroku. Szkoda!!

P. Szymański i Jeronim śpiewali tak jak w przeszłych latach. W trudnej roli Herolda odznaczył się bardzo p. Ludwig. Głos jego piękny i dźwięczny i wielka muzykalność stanowiły dość dziwny kontrast z interpretatorką Elzy, której stanowczo brak tych tak cennych i dla śpiewaka koniecznych zalet.

Wiadomości bibliograficzne.

Księgarnia Gebethnera i Wolffa przygotowuje zbiorowe wydanie szkiców historycznych dr. Antoniego Rollego, znanego dziejopisa Podola. Wydawnictwo to jest bardzo pożądane, bo niektóre tomy tych szkiców są już zupełnie wyczerpane.

*

Jako wykład popularny dla techników, p. Bernard Szapiro wydał książkę p. t. „Oświetlenie elektryczne“.

Rzecz ta powstała z odczytów, mianych w r. z. przez autora w sekcyi technicznej, a teraz odpowiednio rozszerzonych i zaopatrzonych w rysunki.

*

Wyszło z druku obszerne dzieło p. Maryana Lutosławskiego p. t. „Prąd elektryczny, jego wytwarzanie i zastosowanie w technice. Podręcznik dla techników nie specyalistów. Część I. Wytwarzanie prądu elektrycznego“.

W pracy swej p. L. uwzględnia najnowsze zdobycze z dziedziny elektrotechniki tak z punktu widzenia teoretycznego, jak i praktycznego, nie pomijając ostatnich nawet wynalazków, zasługujących na uwagę. Jeżeli do tego dodamy staranne opracowanie całości ze ścisłem przestrzeganiem polskiej terminologyi technicznej, to śmiało rzec możemy, że książka ta odpowiada w zupełności swemu przeznaczeniu, i z korzyścią przeczyta ją każdy technik, nie obeznany specyalnie z elektrotechniką, znajdzie tam bowiem wszelkie dla siebie niezbędne wiadomości, które dadzą mu możność należytego zrozumienia specyalnych zastosowań elektryczności.

*

Ukazała się świeżo w druku broszura p. Bolesława Hryniewieckiego, zatytułowana „Nasze lasy“.

Treść broszurki zawiera trzy pytania: Ile mieliśmy lasów dawniej? Jakie mamy teraz? wreszcie: Jaki pożytek mamy z lasów?

Autor w zestawieniu swych wywodów zwraca uwagę, że niszczenie i utrata lasów, prócz strat materyalnych, powoduje jeszcze donioślejszego znaczenia straty dla zdrowia ludzkiego.

*

Emil Zola zebrał wszystko co pisał w sprawie Dreyfus'a — artykuły dziennikarskie i listy otwarte — w jeden tom, który wyszedł z druku w tych dniach w Paryżu, p. t. „La vérite en marche“. (Pochód prawdy).

Nekrologia.

† Wojciech Gerson.

Żałobna wieść nadeszła z Warszawy: najstarszy z polskich mistrzów pendzla, artysta, który przyczynił się w tak znacznej mierze do stworzenia polskiego malarstwa i podniesienia go do tych wyżyn, na jakich się dziś znajduje — Wojciech Gerson — nie żyje!

Ś. p. Wojciech Gerson urodził się w Warszawie w 1831 r. a pochodził z rodziny protestanckiej francuskiej, oddawna w Polsce osiadłej. Po ukończeniu szkół, wstąpił do szkoły sztuk pięknych w Warszawie, gdzie kształcił się od 1845—1851 r., a następnie w petersburskiej akademii sztuk pięknych (1853—1855), która nagrodziła jego prace medalem srebrnym. Za obraz „Pogrzeb włościański“ otrzymawszy zapomogę od Staniewicza, wyjechał w r. 1856 do Paryża, gdzie pracował pod kierunkiem Cogneta do r. 1858.

Za powrotem do Warszawy został nauczycielem rysunków w instytucie głuchoniemych, skąd w r. 1872 przeszedł na stanowiske profesora rysunków i malarstwa w klasie rysunkowej (do r. 1896).

Zmarły podróżował również wiele po kraju rodzinnym, zbierając typy ludowe, których część ukazała się p. t. „Ubiory ludu polskiego“.

Z licznych prac zmarłego mistrza wyliczamy tylko najcenniejsze:

„Góral wędrowny“, „Uboga dziewczyna bez dachu“, „Św. Jadwiga, dająca jałmużnę“, „Apostolstwo germańskie“, „Sobieski, sadzący topole w Wilanowie“, przepyszny karton, wyobrażający „Kopernika, wykładającego astronomię w Rzymie“, „Kiejstut, uwięziony przez Jagiełłę“, oraz piękne malowidła enkaustyczne wielkich rozmiarów na stropie dawnej wystawy sztuk pięknych w Warszawie: „Poezya“ „Nauka“, „Trzy sztuki plastyczne“, „Zapał i równowaga“. Ogółem ś. p. Gerson stworzył około 509 dzieł treści przeważnie historyczno-religijnej. Ś. p. Gerson ilustrował dzieło „Hetmani polscy“, a w r. 1872 prowadził dział artystyczny w „Wieńcu“.

† Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

We wtorek wieczorem po krótkich cierpieniach zmarła w Warszawie Lucyna Ćwierczakiewiczowa przeżywszy lat 72. Była to jedna z najpopularniejszych, najbardziej znanych osobistości w Warszawie. Nadzwyczajna ruchliwość życiowa, niepospolite znawstwo spraw kucharskich, gospodarskich i modniarskich, wreszcie dar zawiązywania i utrzymywania stosunków towarzyskich zapewniły śp. Ćwierczakiewiczowej rozgłos i popularność, jakiemi się cieszą zwykle tylko najwybitniejsze w społeczeństwie jednostki. Ogłosiła: „365 obiadów“ (wyd. I w r. 1860, ogółem około 20 wydań), „Kurs gospodarstwa dla kobiet“, „Poradnik porządku“ (1876), „Nauka robienia kwiatów“ (1879), „Przepisy konfitur, likierów, marynat, ciast itp.“ (wydanie I. w r. 1898), „Kolęda“ (kalendarz, wydawany od r. 1877). Przez lat 28, do roku 1894, była stałą współpracowniczką „Bluszczu“, potem do ostatnich chwil swego życia, współpracowniczką „Tygodnika mód“.

Bańki mydlane.

W gramatyce jak i w życiu
Jedna prawda tkwi niezbita,
Że inaczej się coś *pisze*
A inaczej często *czyta*.
Dla przykładu strofek kilka...
Najzwyklejsze weźmy *menu*...
Co innego mówi oczom —
Co innego podniebieniu!
Jesteś głodny... „Kelner! kartę!“
Hm... Wątróbka cię przynęca...
W jadłopisie *stoi* „gęsia!“
Na talerzu jest... „cielęca!“
Idąc dalej tymże torem,
Masz w anonsach zwykłe hasło:
„Gospodarski obiad zdrowa!
„Produkt ze wsi! świeże masło!“
Zachęcony — jesz prywatnie...
Rzucasz knajpkę i kieliszek —
Po miesiącu... nawet króciej,
Jak zapisał — katar kiszek!
W sferze ducha jeszcze gorzej!
...Nowa sztuka! Głoszą cuda!
Biegniesz co tchu do „zamawiań“ —
Szczęśliw, gdy się kupić uda..
Punctum ósma do teatru,
Co „nabitym jest po brzegi“...
Wchodzisz... *Puchy!* Mógłbyś śmiało
U naiwnej zliczyć piegi!
Ktoś jest „znanym“ mistrzem dłuta,
Skoro handlarz dzieło kupi —
Iks epitet ma: „poczciwy“ —
Bo to ładniej brzmi, niż „głupi!“
„Miły człowiek“ — czytaj: natręt!
A „w bezdennym żalu wdowa“,
Często według nekrologów
Już czwartego męża chowa!
I tak dalej, i tak wszędzie —
Że „prospekty“ minę liczne —
Równie w życiu jak w pisowni
Są zasady... gramatyczne!
Gdy więc błędu chcesz uniknąć
I mieć stopnie doskonałe —
Mów inaczej! myśl inaczej!
Pisuj: „czarne“ — czytaj: „białe!“

El.

Wydawca: K. Kołakowski. Odpowiedzialny redaktor: Wład. Strzelecki.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.

Z drukarni „Dziennika Polskiego", ul. Cicha 5